

Koniki Tadzia, Stróżak, Lekcja Emilki

Maria Konopnicka



Warszawa, 1918

Pobrano z Wikizródeł dnia 16.10.2018

MARYA KONOPNICKA.

KONIKI
TADZIA.
STRÓŻAK.
LEKCJA EMILKI.

MOJE KSIĄŻECZKI



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
LUBLIN, NAMIESTNIKOWSKA 23

Koniki Tadzia.

Nie było dla Tadzia większej uciechy, niż kiedy mu mama pozwoliła iść do Jagodzińskich. Stary Jagodziński, wysoki, pochyły, kaszlący, z wielkimi aż do ziemi kieszeniami, w których chował tytoń, fajkę, nóż składany i różne rupiecie, był ogrodnikiem w Bronowie, gdzie mieszkali rodzice Tadzia.

Stara Jagodzińska, chuda, śniada kobiecina, była niezmiernie żywa i bardzo gospodarna.

Mieli oni wnuczkę Felcię, domek tak schludny, tak biały, że go i za dworek wziąć można było. Na wiosnę domek ten ginął prawie wśród rozkwitłych drzew owocowych, między którymi brzęczały pszczoły i świergotały wesołe sikorki. W lecie stały przed nim, jak pochodnie, proste wysokie malwy, których ogniste kwiaty podobne były do jarzących płomyków.

Jesienią wszakże było tam najmilej. Nietylko bowiem złociły się wyborne gruszki, rumieniły jabłka, ale na wysokich tyczkach wisały całe pęki na wpół już suchych łodyg i stręków fasoli.

— Mamusiu — mówił Tadzio — jabym chciał do Jagodzińskich!

— Kiedy Jagodziński teraz w ogrodzie zajęty. Niema czasu.

— To do Jagodzińskiej!

— Ocho! wtrąciła Rozalia, piastunka młodszej dziewczynki, stara Jagodzińska poszła na jarmark do Uniejowa. Prosięta sprzedaje.

— No to do Felci.

— Ale Felci już niema: kaczątek swoich pilnuje! płótno bieli!

— No to, moja mamusiu, to może choć tak tylko pójde i posiedzę sobie, kiedy niema nikogo. Moja złota!

Co było robić? Mama pozwalała nieraz, a Tadzio szedł do domku ogrodnika, siadał sobie na progu, i patrzył to na wróbelki, to na kokoszki czubate, to na króliki, co się z pod przysieni wymykały w pobliską kapustę; to wreszcie na drogę, czy też nią któ nie wraca. Tak ogromnie chłopczyzna tych ludzi kochał.

— To idź, Tadziu, ale uważnie a gdyby Jagodzińska wkrótce nie przyszła, to wróć tutaj.

Tadzio pobiegł.

Właśnie wracała Jagodzińska i spostrzegła go pierwsza.

— A, mój złoty! kochany! — wołała zdaleka. A mój królewicz najśliczniejszy! To siedzi sobie na prożku, siedzi! I czeka aż stara Jagodzińska z jarmarku się wróci? A, moje dziecko kochające, najmilsze! Zaraz ja tu stancję otworzę. A psik, Mruczek! A pójdiesz Kurta!... Nie moogliście to panicza bawić, nicponie, kiedy Jagodzińskiej nie było? — To wy tak się na honorze znacie?

Czekajcie!... Nic wam nie dam, darmożjady jakieś — i otwierała z kłudki drzwi, a Tadzio maszerował przez wysoki próg do czysta wybielonej, chłodnej, pełnej kwiatów stancy; Jagodzińska zaczynała się krzątać.

— A, żebym ja wiedziała, że takiego tu gościa zastanę, to bym choć z połowę Uniejowa w fartuchu przyniosła.

A tak, to tylko pierniczek...

I dobywała z koszyka piernik ślicznie lukrowany i jeszcze potrząśnięty białym, różowym i niebieskim maczkiem. Zaraz też chciała Tadzia posadzić, to na krzeselku drewnianem, to na ławce, to nawet na stole, żeby sobie okienkiem patrzeć; ale

Tadzio najlepiej lubił siąść na środku izby, na czyściuchno wymytej podłodze. Siadał, nożyny wyciągał i pytał cienkim głósikiem:

— A koniki?

Jagodzińska uderzyła się ręką w czoło:

— A prawda! koniki!... O głowo, stara głowo!... Żem ja też o konikach dla mego królewicza, dla mego złotego pana zapomnieć mogła! Zaraz będą... zaraz!... A psik Mruczek, a pójdiesz Kurta!

Biegła kobiecina do komory, brała przetak, i przynosiła w nim kilka garści prześlicznej, kolorowej fasoli.

— Ot koniki — wołała od progu — są! Nie poginęły! Kurta pilnował! Dobry pies.

— Dobry — powtarzał Tadzio, i głaskał małą rączką nadskakującą mu psinę. Zaczynała się teraz zabawa.

Najpierw wybierał Tadzio czerwone fasolki na konie fornalskie. Fornalek czterokonne bywało po osiem i po osiem i po dwanaście nawet, a wszystkie tak równe, lśniące, aż miło na nie patrzeć! Przy każdej fornalce brykał jeden maleńki źrebaczek. Z wyszukaniem tych maleńkich była wielka bieda, bo fasole ogromnie dorodne rodziły się u Jagodzińskich. Ale też kiedy fornalki ustawione już były to zajmowały całą deskę podłogi, od stołu, do zielonego kufra starej Jagodzińskiej.

Patrzył na nie Tadzio z dumą i uśmiechem. Ani w Biernacicach, ani w Zbytczycach, ani w Gostowie, nigdzie takich ślicznych fornalek nie było!

Potem szły różnej maści źrebce. Tych bywała cała kupa, a wszystko to jeszcze młode i nieoprzęgane. Tych źrebców pilnował żółty piesek, Gać, na którego Tadzio wybierał co najmniejszy groszek. Ten psiak to miał prawdziwą mękę z temi

żrebackami! Co ten się nie naujadał, nie nagonił, czy to na pastwisku, koło komina, gdzie cegły tylko były, czy w stajni, za pudłem, w którym Jagodzińska czepki swoje chowała, czy wreszcie przy pojeniu, u cebrzyka, na którym błyszcząły obręcze jak złote — ciągle te się żrebce rozbiegały, a Tadzio aż się zapocił nieraz tak musiał za Gacia spędzać je, a dobywać głosu: Ham! ham! Ham! ham! aż zachrypnął nieraz.

Teraz trzeba było wybierać cuganty. Szły na nie największe fasole i najokazalsze. Z temi już nie było takiej biedy, bo w zaprzęgu chodziły wybornie. Tu dopiero podziwiał można było prześliczną czwórkę bułanków, szpaków, tarantów, złotogniadych, karych i gniadych jak mleko.

Tak dobranych koni trudnoby i na jarmarku znaleźć, choćby w Łęczynie, choćby w Łowiczu, albo w Skaryszewie!

Cóż dopiero kiedy wierzchowce zaczęły brykać, w stajni!

Te pojedynczą maścią szły najosobliwsze, uderzające figurą, ślicznymi odmianami, a także dzielnością!

Tu Szronek jak skra żywy, to Biało-nóżka z czarną odmianą na czole, tu Arab gniady wysmukły, tu Bułanek okrągły z czarnym orzełkiem, tu znów siwek prześliczny z czerwonym. Jakże się to wszystko rwało z uzdy, spinało, jakie szczupaki w powietrze dawało! Tadzio musiał je dobrze trzymać, a ciągle: a prr!... a prr!... wołać. Takie ogniste były te wierzchowce.

— A gdzież to mój pan złoty na tych złotych koniach pojedzie? — pytała Jagodzińska, robiąc pod oknem pończochę.

— A na wojnę! — odpowiadał chłopczyna.

Jakoż zaczynała wojna. Fornalki szły pod furgony, cugowe pod armaty, wierzchowce pod kawalerję, a nawet z młodej stadniny co większe szły pod konnicę, bo to wojna nieprzeciera, co zbrzegu to dalej! Dopieroż to jak Tadzio nie

zatrąbi w złożoną piastkę, jakże się te konie ze sobą nie zetrą! Jak nie wpadną na siebie!.. Jak nie zaczną brykać, wierzgać! Tu kawalerja na kawalerję, tu armaty na armaty, tu furgony na furgony. — I hu ha! I hu ha! Krzyk, hałas, zamieszanie, rżenie takie, że to aż w podwórzu słycać!

Aż wtem, w największym tumanie, w największym warze bitwy jak się złąknie tego rżenia Kurta, jakże nie wpadnie na Mruczka, jak się oba nie zwiną w kłębek, jak się nie potoczą w sam środek batalii! Rozproszyli się konnice i swoją i cudzą, armaty poszły w ruch, furgony się poprzewracały do licha, cały obóz het, precz, po wszystkich kątach się rozleciał.

— A psik! A pójdiesz! Krzyczy, zerwawszy się, Jagodzińska, kłębek jej z kolan spada; Kurta i Mruczek rzucają się na niego, a tocząc po izbie, resztę wojennego bagażu zapędzają w kąty.

Już Tadziewi blisko płaczu, już mu tylko te rzęski ciemne u oczów mrugają, kiedy wtem wpada Felka z bielnika, z półbią świeżo bielonego plótna.

— A pójdź-że tu, Felka! A ratuj! — woła stara Jagodzińska, napróżno goniąca za kłębkami.

— Konie nam się oto rozbiegały i nasz królewicz złoty nie ma na czem jechać.

— No, to ja będę konikiem! Dobrze Tadzieńku. I Felka rzuca w kąt polewaczkę, — płótno ciska na kufer, chwytając chłopczyka w pół i na ramiona sobie sadza.

Jeszcze się Tadzio nie spostrzegł, już na koniu siedzi.

— Na stronę kot — woła Felka — bo przeskoczę! Na bok psiak, bo cię przewrócę!

A ci obaj za nią! Kurta zaczyna szczekać, za sukienkę ją chwycił i ciągnie, kot miauczy i pazurkami się trzyma. Nie

było innej rady, tylko stara Jagodzińska złapała Kurtę, złapała Mruczka, Tadziowi dała jednego pod jedną paszkę, drugiego pod drugą, i dopieroż jazda koło stołu.



© Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Konopnicka](#).

Stróżak.

— A co tam za hałas?

— To stróżak wrzeszczy!

— Coż mu się stało?

— A nic. Tak, z rozpusty!

— A kto tę szybę wybił?

— To stróżak kamieniem cisnął.

— A kot czego tak miauczy?

— Stróżak go poturbował!

— Cóż to za urwis z pod ciemnej gwiazdy! a to bić, a kija nie zdejmować z niego!...

I nic innego nie było słycać w całej kamienicy o tym stróżaku, tylko takie mowy.

Tak się ten chłopak wszystkim dał we znaki!

Raz konewkę praczce chwycił, w kąt schował. Praczka chodzi lamentuje, wymyśla, a stróżak — patrzy i śmieje się jej w żywe oczy.

— Franek mówi praczka — ty pewno wiesz, gdzie moja konewka!

— Ja? — Skądbym wiedział!

— Boś ją schował!

— Ja ją schował? Widzieliście jakem ją chował?

I tak się nastawił, jakby mówił najprawdziwszą prawdę.

Praczka do izby, a Franek po konewkę i na drodze ją stawia. Praczka wychodzi, patrzy, jest konewka.

— W Imię Ojca i Syna! A toć konewka! A takim naglądała i nie było! Czy tuman jaki, czy co?

A Franek aż się za boki bierze i pokłada od śmiechu.

Innym razem patrzy, wyleguje się pudel panny Gertrudy na oknie od podwórza na dole. A taki tłusty! muchy mu chodzą po nosie, a on nawet łapą nie ruszy!

Ogromny pieszczoł z tego pudła, na samych łakotkach wychowany. Frankowi już psota przyszła do głowy: próbuje ręką dostać i w ogon go uszczypnąć, ale zawysoko. Wtym nawija się kot maglarki. Ten kot także jest faworytem i także tak samo prawie tłusty, jak pudel panny Gertrudy. Spostrzegłszy kota, stróżak chwytą go za przednie łapy, buja przez chwilę dla lepszego rozmachu, poczym bęc kotem o pudła.

Naraz powstał wrzask i pisk, że opowiedzieć trudno! Kot był pewny, że to pudel go napadł, bronił się tedy zębami i pazurami. Pudel rozumiał że to kocia sprawa, a nie mogą napastnikowi dać rady, wrzeszczał w niebogłoty. Wkrótce ukazały się w oknach właścicielki bijących się ulubieńców. Panna Gertruda chwyciła kota za kark i przyłożyła mu parę klapsów.

— Masz! A masz!...

— Proszę nie bić mojego kota! — wołała maglarka. — Proszę go zaraz puścić!

— A, to pani kot?... Dobrze że wiem! Pieska mego w mieszkaniu mojem napadł! Może jest wściekły!

— Co?... mój kot wściekły? To chyba ten szkaradny pudel pani jest wściekły!

— Mój pudel szkaradny?... Jak pani może tak się o moim Filonku wyrażać?

I zaczęły się wymówki coraz głośniejsze a Franek aż się tarzał ze śmiechu. Taki był ten chłopak złośliwy i psotny!

Na wołowej skórze nie spisałyby wszystkich jego sprawek.

Ojciec, jako ojciec, mało w domu siedział; to wodę nosił, to ulicę zamiatał, to śnieg wygarniał, niewiele mógł wdawać się w te rzeczy. Ale co ta matka przeszła z tym chłopakiem, to strach! Kochał ją, bo kochał; ale cóż, kiedy jednej chwili nie usiedział spokojnie! Dnia nie było, żeby piekła jakiego nie zrobił. A jak ubranie darł! Nastarczyć mu nie można było. Ledwo mu matczysko uszyło koszulinę albo i kurteczkę, już z niej w tydzień szmaty!

— A czy się też pali na tobie, chłopcze! — wołała matka, załamując ręce. — A cóż z ciebie za łachmaniarz, że tak drzesz ten przyodziewek? Czy ty myślisz, że ojcu, matce, z nieba kapie? To ty nie wiesz, że ciężko, że każdy grosz trudny, że dobrze się trza napracować, nim się co kupi? Gdzieżeś to tak rozdarł ten rękaw?

— Mamusiu złocista, ja sam nie wiem! Tak się oto rozdarło...

— Nie wiesz? Ty nie wiesz?... A kto po drzewach łązi, jak nie ty? — Patrzcie ludzie! Koszula taka jeszcze dobra co z rękawami porobił! Aj, chłopaku, chłopaku! Gdzie ty sumienie masz?... A toć ty nas ze wszystkim zmarnujesz!

— Mamucho złota, ja się już poprawię!

— Poprawisz ty się wisusie, poprawisz! Z pieca na łeb! Już ja znam twoją poprawę! Codzień obiecujesz, a zawsze to samo!

I prawda! Co się ten chłopak nie nacałował matki, co się nie naobiecował, że już będzie lepszy — wszystko na nic. Ledwo przez próg przejdzie, już mu w głowie nowa psota, nowa awantura. Ojciec możeby temu i dał rady, bo miał porządny pasek rzemienny, co nim opasywał kozuch. Ale matczysko nie skarżyło się nigdy. Jeden tylko był, więc jak mogła, tak zapobiegała. Połata, wypierze, wyburczy, no i tak szło, a

poprawy żadnej nie było.

Ale i jej było coraz trudniej i tylko ręce załamywała, myśląc, co z tego będzie?

Kuma i sąsiadka, Pawłowa, nieraz z nią o tym radziła.

— Moja kumo złota! — mawiała stróżka — co z mego urwisa wyrośnie to ja nie wiem!

A kuma na pociechę:

— Co ma być, szubienicznik i tyle!

Aż raz umarła w tej kamienicy uboga wyrobница, wdowa — i zostawiła sierotkę, małego Karolka, co jeszcze roku nie miał. Złożyli się ludzie na trumnę, na pogrzeb, bo tam grosza u tej wdowy ze świecą by nie znalazł, pochowali; ale kiedy przyszło o sierocie radzić, co z nim począć, każdy westchnął tylko.

— Ja sama czworo mam! — mówiła jedna z kobiet.

— U nas też bieda aż piszczy! — mówiła druga.

— Żeby tak większy, tobym wzięła — mówiła trzecia — posłużyłby, zakołysałby mego Jaska. Ale cóż! toż to i piastowaćby jeszcze trzeba!

Więc kiedy tak stoją i radzą, Franek matkę w rękę całuje i prosi:

— Mamuchno złota! Weźmy tego Karolka!

— Co ci w głowie?... Ja na ciebie, ty urwisie, nastarczyć nie mogę, a będę obce brała?...

Ale Franek nie ustawał molestować matkę...

— Mamuchno złota! Mamuchno jedyna! On taki biedny! Taki mały! Tak tam piszczy, jak ten wróbelek!

Matka broniła się, jak mogła.

— Daj mi ty spokój i z twoim Karolkiem! Dość ja z tobą jednym mam biedy!

Franek się wyprostował, zabłysły mu oczy.

— Mamo! — zawołał, bijąc się kułakiem w podartą kamizelczynę — słowo honoru mamie daję, że jak mama Karolka weźmie, to ja się poprawię. No, już ja mamie powiadam! Ma mama moje słowo! Jak ja się nie poprawię — tom kiep!

Jeszcze się w piersi bił, kiedy wszedł ojciec i postawiwszy w kącie miotłę, rzekł:

— A wiesz, matka, że ja bym tego tam bąka, tę sierotę ze suteryny wziął...

A Franek buch ojcu do nóg.

— Tatuńciu złościy! Tatuńciu serdeczny, jedyny!...

— A tobie co chłopaku? — pyta ojciec.

Ale Franka już w stancji nie było. Jak iskra prysnął do suteryn, dzieciaka na ręce porwał i przyniósł.

Od tego dnia trudno było poznać, co się ze stróżakiem stało. Jeszcze szaro, on już się zrywa patrzyć, czy Karolek okryty, a jeżeli śpi, to czy mu nie zimno. Da matka śniadanie albo objad, to go nie tknie sam, póki nie nakarmi Karolka. To myje chłopczynę, to go czesze, to go piastuje, huśta, piosenki



mu śpiewa, to go chodzić uczy, to siądzie z nim sobie pod słońce na progu i opowiada mu Bóg wie co, to mu latawca z deszczułek i papieru klei...

Matka aż w głowę zachodzi.

— Moja kumo! — mówi do sąsiadki — ten chłopak, to jakby mi go kto przemienił, taki teraz spokojny, taki dobry!

A kuma:

— Ej! Nie dowierzać! Nie dowierzać! Niedługo to tego będzie!

A nieprawda! Czas mijał, a stróżak nie ten, jakby go miodem smarował, taki posłuszny, tak uległy, taki cichy.

Dziwią się wszyscy w domu, aż głowami kręcą.

Nikt już szyb po sieniach nie wybijał, nikt nie dudni piętami po schodach, konewkę gdzie postawią, tam dostoi, kot z pudlem nawet już się nie biją. Aż miło! A matka tylko ręce składa, a Bogu dziękuje.

Nawet koszule Franek przestał drzeć; a kiedy mu matka nową sprawić chciała:

— I... nie, mamuchno! — mówi — Jeszcze mi te stare wyłatajcie! A te nowe, to niechby już na Karolka szły. Z mojej jednej dwieby miał.

Sam też się cesał, mył, matczyne stare trzewiki, co mu je dała, porządnie sobie na nogach wiązał, złego słowa nikt od niego nie usłyszał.

— A czy cię też Pan Jezus natchnął z tym sierotą! — mówiła stróżka do męża — Ten nasz chłopak, to się tak ze wszystkim odmienił, taki się akuraty zrobił, że to daleko szukać takiego!

— Dusza, nie chłopak! — mówiły o nim kobiety z podwórka.

Już nawet nikt go „stróżakiem“ nie nazywał. Wszyscy mu grzecznie mówili: Franuś, Franeczek!

Tak było ciągle.

Aż raz, w pół roku może, siedzi ojciec przed kominem i fajkę pali, a Franek... puc go w rękę!

— Cóż tam nowego? — pyta stróż.

— Jabym tatuńcia prosił, żeby mnie na książce uczyć kazał, tobym potym, jak będę mądry, Karolka też uczyć mógł!

Zabłyśły na to ojcu łzy w oku, i matka prędko twarz fartuchem otarła, a nazajutrz Franek, uśpiwszy swego wychowańca, zasiadł nad... elementarzem.

Ciekawa rzecz, jak mu też to pójdzie!..



© Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Konopnicka](#).

Lekcja Emilki.

— Proszę siedzieć spokojnie i uważać na wszystko co mówię. Żadnych minek, żadnych szeptów! bo to nie żarty, to lekcja! Chińczyk! Czego się śmiejesz. Otwiera elementarz na chybi trafi. Młode osoby w waszym wieku, moje panny, powinny znać litery alfabetu na chybi trafi. A więc T. Proszę się przypatrzeć, jak wygląda ta litera alfabetu! Wszak ładna? Wiele dobrych rzeczy zaczyna się od tej litery. I tak:

...Truskawki: Śliczne, rumiane są już z jednej strony, rosną w ogrodzie naszym zaraz za porzeczkami... Chińczyk! Czego się śmiejesz? Że wiem gdzie rosną, to jeszcze nie dowód, żebym tam biegała rwać je! Łakomstwo, mówi mama, jest brzydką rzeczą. Czasem tam przechodząc schylę się po którą, ale tylko po dojrzałą; a jeśli mi droga często tamtędy wypadnie, to nie moja wina! O czymżeśmy to mówili... Ale T.

...Tabakierka! Jestto małe pudełeczko z ciemnego drzewa, wysadzone masą perłową, z którego dziadzio zażywa tabakę. Tabakierka nie zawsze jednakowo wygląda. Stary Paweł, gajowy ma tabakierkę z brzozonej kory, z rzemyczkiem do podnoszenia pokrywki, a ksiądz proboszcz ma tabakierkę grającą, która, gdy się ją nakręci, wygrywa krakowiaki i mazurki. Ale czy z takiej, czy owakiej, tabaki zażyć, zawsze w nosie zakręci i... psik! trzeba kichnąć. Chińczyk! Cóż tam za śmiechy znowu? Nie byłeś jeszcze jak widzę, w żadnej porządnej szkole, na żadnej porządnej lekcji! Nie umiesz się przyzwoicie zachować! Pfe... Wstyd mnie za ciebie!

Moje panny, spodziewam się, że żadna z was tabaki zażywać nie będzie. Dla młodych osób w waszym wieku nie jest to

stosowne.

Trzeba jednak żebyście wiedziały, że kiedy dziadzio lub ksiądz proboszcz zrobi: Apsik! — Chińczyk!... znowu? — to wypada grzecznie dygnąć i powiedzieć: Na zdrowie dziadzi! Na zdrowie księdzu proboszczowi! Możecie nawet powiedzieć: Na zdrowie Pawłowi, bo Paweł mi obiecał królika przynieść, albo też zajączka z boru.

T... T... Cóż to na T?... Turek! Pies karbowego, jest biały w żółte łaty, zły i szczeka na dziadów. Nasz Mruczuś go niecierpi i parska na niego. Tego psa, moje panny, wystrzegajcie się bardzo, bo on mi już jedną lalkę na nic roztargął. Wszystkie trociny z niej wytrząś! Ach, jak ta lalka wyglądała, po tym wypadku, moje panny to strach! Wziął ją też Julek na stracha, kijami rozparł i postawił w ogródku swoim, w maku, żeby się jej wróble bały. Ach cóż to za smutna rzecz, kiedy młoda panienka zamieni się w stracha na wróble! Chińczyk! Czego się śmiejesz? Zdaje mi się, że zamiast na stole, będziesz musiał siedzieć pod stołem! A jak i to nie pomoże, to cię obrócę na wycieraczkę do piór! Właśnie mówił Julek, że mu potrzeba. Na fajce taty jest także Turek. Nazywa się on Turcja, i ztamąd są tureckie orzechy. Henia powtórz!... Bardzo dobrze. Bardzo dobrze.

T... T... Trzcina. Jestto giętki pręt, którym Marjana trzepie krzesła, dywany, a także szlafrok dziadzi i kurtkę tatusia. Służyć on także może do przetrzepania niektórych rozpustnych Chińczyków, co się ze wszystkiego śmieją. Proszę to sobie zapamiętać. Jest jeszcze trzcina gruba, z gałką srebrną u góry, na której się opiera dziadzio, kiedy idzie w pole. Nuci on sobie wtedy zazwyczaj piosneczki stare, bardzo stare i podkręca wąsa.

Dla młodych osób, w waszym wieku, moje panny, podpieranie się trzcina nie jest konieczne. Trzcina rośnie także nad naszym stawem, tam gdzie tatuś chodzi na polowanie na kaczki dzikie, z wyżłem swoim, Bekasem. Ta trzcina ma brunatne pałki, z których Julek umie robić bardzo ładne niedźwiedzie, wetknąwszy w pałkę cztery kijki zamiast nóg, a głowę zrobiwszy z chleba. Mówię wam, moje panny o tem, dlatego abyście spotkając takiego niedźwiedzia, nie myślały że to prawdziwy i nie uciekały. Chińczyk, ty nicdobrego! Czego się znów śmiejesz? Spotkanie się z niedźwiedziem wcale nie należy do rzeczy śmiesznych! Nie czytałeś chyba nigdy książki z podróżami z której mi Julek opowiadał o takim spotkaniu. Zdaje mi się, że ja cię już niedługo ztąd wyrzucę. Patrz jak Nini grzecznie siedzi, albo Lili! Po oczkach jej widać że uważnie słucha! A ty co nieuku!

Cóżby tu jeszcze na T?

... Tomaszowa! Niania! Bardzo ją kocham! Ona mnie piastowała, gdy byłam malutką... ot, tak jak my, moje panny! Śliczne bajki opowiada! A co ich umie, to i nie policzyć! O zaklętej królownie, o trzech braciach, ich było dwóch mądrych, a jeden głupi; o baranim kozuszk. Chińczyk! Czego się śmiejesz? Czego się za nogi trzymasz? Czy to jest przyzwoita pozycja na lekcji? Zaraz zapiszę w dzienniku! Gdzie pióro?... Chińczyk przez całą lekcję śmieje się i trzyma za nogi! Złe sprawowanie! pałka! tak! Masz teraz! Widzisz czegoś się doczekał!

Tomaszowa bardzo mnie też kocha. Jak robią sery, to mi zawsze daje twarożku. Ale twarożek! To także na T. Bardzo smaczny! Dostajemy go czasem do chleba na podwieczorek. Tomaszowa nosi dużą chustkę białą na głowie z haftowanym

rogiem; mówi że to po krakowsku. Mnie zaś nazywa swoją trajkotką! Chińczyk! Znowu śmiechy? A to nie do wytrzymania! Do kąta! Godzinę będziesz tu z książkami w kącie stał, rozumiesz? A my moje panny do pudełka! Lekcja już skończona! Zaraz zapiszę stopnie: Mimi — piątkę! Lili — piątkę. Dobre sprawowanie.



© Tekst jest [własnością publiczną](#) (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Konopnicka](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Koniki Tadzia, Stróżak, Lekcja Emilki](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Sempai5
- Joanna Le
- Salicyna
- Lilibalu
- Ankry
- Wieralee

-
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
 2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
 3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
 4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)